

KRZYSZTOF KOZIOŁEK

Nie pozwól Mi umrzeć

Trzyma w napięciu do samego końca.
Sara Samusioneck

Przygotujcie się na płataninę zagadek.
Ewelina Krzewicka

Z jednej strony potężny koncern farmaceutyczny.

Z drugiej troje obcych sobie ludzi.

KRZYSZTOF KOZIOŁEK

Nie
pOzwól
Mi
umrzeć

 MANUFAKTURA
TEKSTÓW

[Kup książkę](#)

Przed rozpoczęciem lektury
sprawdź swój grafik w kalendarzu
i/lub uzyskaj zgodę rodziny,
gdyż każda książka
Krzysztofa Koziołka
jest potencjalnym złodziejem
Twojego czasu.



Redakcja i korekta
Jolanta Paczkowska

Projekt okładki
Kamil Pietruczynik
www.kamilpietruczynik.pl

Skład i łamanie
Krzysztof Kokosiński

Copyright © by Krzysztof Koziółek 2018
Copyright © by Manufaktura Tekstów 2018

www.manufakturekstow.pl

Oficjalna strona internetowa autora
www.krzysztofkoziolok.pl

Wydanie pierwsze
Nowa Sól 2018

ISBN 978-83-949557-3-1

Druk i oprawa
TOTEM - Inowrocław

[Kup książkę](#)

Dedykuję
Lekkiej

Nikt nie może być sędzią we własnej sprawie

[Kup książkę](#)

Prolog

Wtorek, Wrocław

– Wiesz, dlaczego Bruce Willis nie zagrał głównej roli w „Titanicu”? – zachichotał zasuszony staruszek z zimową czapką na głowie.

Damian Saran spojrział na mężczyznę stojącego przed nim w kolejce, zastanawiając się, dlaczego starsi ludzie się nie myją? Smród, jaki wydzielały ciało i ubranie, był jednak niczym w porównaniu do odoru buchającego z ust.

– Wiesz? – Staruszek przybliżył się, czekając na odpowiedź.

– Nie. – Saran chciał cofnąć się chociaż pół kroku, ale ogonek był tak zbity, że ludzie stali sobie prawie na plecach. Miał przeczucie, że próby zignorowania dziadygi na nic się zdadzą.

– Bo wszystkich by uratował! – zarechotał, prezentując zepsute zęby.

Saranowi zebrało się na wymioty. Na szczęście staruch został wywołany do kontuaru, dzięki czemu mógł wreszcie odetchnąć, w przenośni i dosłownie. Gdyby tylko facet plótł trzy po trzy, dałby radę wytrzymać, lecz ten fetor był nie do zniesienia.

Spojrzał w kierunku policjanta i jego zmanierowanej twarzy. Wyglądał tak, jakby przyjmowanie zgłoszeń i rozdzielanie petentów otrzymał w ramach kary za jakieś służbowe przewinienie. Dawał mu czterdziestkę

– między innymi za sprawą podwójnego podbródka – odnosił wrażenie, że był tu najstarszym funkcjonariuszem, przynajmniej spośród tych, którzy przewinęli się przez parter komisariatu. Większość sprawiała wrażenie, jakby dopiero skończyła szkołę średnią, przy nich wyglądał na doświadczonego wygę.

A gdzie ten uśmiech z plakatu przyklejonego na drzwiach wejściowych? Gdzie uprzejmość, zrozumienie i empatia, o których krzyczała pogrubiona czcionka?

Pewnie w gabinetach policyjnych specjalistów od kreowania wizerunku – westchnął pod nosem, patrząc, jak funkcjonariusz z podwójnym podbródkiem ochrzania śmierdziela. Chyba chuchnął mu prosto w twarz, tak jak mi! – cmoknął z dezaprobatą.

Spojrzał na zegarek. Od momentu przekroczenia drzwi wejściowych minęły prawie trzy kwadranse. Tyle czasu policjantowi w recepcji zajęło załatwienie siedmiu osób: dwie wyszły z budynku, pozostałe skierował do korytarza.

Przynajmniej dobrze wykorzystałem ten czas – uśmiechnął się sam do siebie na myśl o rozmowie z miłą panią stojącą za plecami. Jej mąż chorował na Alzheimera, średnio dwa razy w miesiącu wychodził z domu i znikał. Dzięki niej wiedział, że ze zgłoszeniem zaginięcia nie trzeba już czekać 24 czy 48 godzin, tylko można to zrobić od razu. Uczuliła go również, aby pod żadnym pozorem nie dał się spławić.

Zerknął w kierunku recepcji, coraz bardziej się niecierpliwiąc i czując coraz większą niepewność, czy dobrze zrobił, tu przychodząc. Fan Bruce’a Willisa akurat

pochyłał się nad kontuarem, stawiając parafkę na jakimś dokumencie. Widząc to, Saran zatarł ręce z radością.

Właśnie wtedy usłyszał charakterystyczne piknięcie, którego nie mógł pomylić z żadnym innym dźwiękiem. Wiedziony zawodową ciekawością spojrział w bok. Przed windą stał młokos w policyjnym mundurze. Patrząc na pojedyncze włoski na brodzie, można było odnieść wrażenie, że to przedstawiciel ostatniego rocznika gimnazjalistów, a nie stróż prawa.

– Człowieku, to nie jest kołek drewna! Nie trzymaj tak długo! – szepnął poirytowany na widok policjanta trzymającego przywoływacz. Leciwe Zremby były znane z dużej odporności na idiotów, ale nawet one miały swój próg tolerancji. – Zepsujesz! – syknął gniewnie, po czym zrezygnowany machnął ręką.

Czym tu się przejmować? Miesięczna konserwacja takiej windy kosztowała stówę, czasami dwie. Stawka zależała od firmy, zdarzały się takie, które liczyły sobie prawie tysiąc! Od żadnego z kolegów po fachu nie słyszał, aby któryś trzymał pieczę nad tym komisariatem, ale gdyby jemu przypadło to w udziale, to zawołałby co najmniej pięć paczek. Policja zatrudnia debili? Niech płaci, a co!

Zaśmiał się pod nosem na myśl o wycenie, jaką dzień wcześniej jego szef zrobił dla pewnej wspólnoty w nowiułkim wieżowcu. Wcześniej z kolegą zamontowali tam świeżo wyprodukowane dźwigi, a gwarancja wymagała fabrycznego serwisu. Takie roboty lubił najbardziej, bo ludzie musieli płacić haracz, nie było żadnego zmiłuj się! W nieco lepszym położeniu byli właściciele bardziej wiekowych urządzeń, tam zawsze można było

spróbować przeprogramować windę lub wymienić sterownik.

Według szacunków w Polsce było 80 tysięcy wind osobowych. Połowę z nich należało pilnie wymienić, a jedna kosztowała od 100 do 150 tysięcy złotych. Dla niektórych spółdzielni były to tak duże koszty, że dźwigów nie kupowały, tylko brały w kilkuletnią dzierżawę, niczym auto w leasing. Tak czy siak, windy nowe czy stare, robotę do emerytury miał jak w banku. I to dobrze płatną!

Poczuł ciepło rozlewające się w ciele i właśnie w tym momencie huknęło tak głośno, że aż podskoczył. Wzrok automatycznie powędrował w kierunku, skąd dobiegł hałas. Po szybie w drzwiach wejściowych nie było śladu. W miejscu, w którym znajdowała się jeszcze chwilę wcześniej, było za to widać kawałek nogi z butem.

Zaraz potem stopa zniknęła, drzwi się otworzyły, a do środka wpadło dwoje policjantów trzymających za rękę skutego mężczyznę.

– Ja wam zaraz kurwa ten jebany burdel rozpierdolę!
– wrzasnął. Następnie zaczął się bujać na boki, chcąc strząsnąć napastników. Nic sobie przy tym nie robił z nienaturalnie wygiętych rąk.

– Bierz go! – Młoda policjantka z włosami splecionymi w długą warkocz jęknęła, wsuwając rękę głębiej pod ramię mężczyzny.

– Mam! – odparł jej niewiele starszy partner, ściskając oburącz zatrzymanego.

– Siadaj! – warknęła.

Mężczyzna udał, że szykuje się do wykonania polecenia.

Takie posunięcie zwiodło policjanta, który ramieniem postanowił otrzeć czoło zlane potem.

Osilek wykorzystał moment nieuwagi, wyprostował się gwałtownie, uderzając młokosa w szczękę. Gdy ten padł na podłogę jak rażony piorunem, mężczyzna zwiętrzył swoją szansę i szarpnął.

O dziwo, dziewczyna była na to przygotowana. Użyła dźwigni, jaką kilka sekund wcześniej założyła na ramię, jednocześnie podstawiła dryblasowi nogę. Dało się słyszeć trzask łamanej kości, po czym mężczyzna runął obok leżącego bez życia funkcjonariusza. Musiał być pod wpływem alkoholu, bo złamanie nie zrobiło na nim żadnego wrażenia. Momentalnie wstał, szykując się do kopnięcia policjantki.

Nie zdążył, funkcjonariusz z podwójnym podbródkiem przyszedł jej w sukurs. Chwycił napastnika pod brodą, drugą dłonią złapał przegub pierwszej i zaczął coraz mocniej zaciskać chwyt.

Damian Saran – podobnie jak wszyscy inni czekający w kolejce – patrzył jak zahipnotyzowany aż do momentu, w którym wielkie cielsko mężczyzny zważyło się na posadzkę. Niemal w tej samej chwili z korytarza wyskoczyło dwóch innych policjantów.

Kilka minut później funkcjonariusz z podwójnym podbródkiem wrócił za kontuar, a obsługa interesantów ruszyła z powrotem.

– Słucham – rzekł mundurowy, masując palec wskazujący lewej ręki.

– Kontuzja? – rzucił Saran przymilnie. – Ładnie go pan unieszkodliwił – dodał z autentycznym podziwem.

– Dziękuję. – Nawet nie patrzył na rozmówcę. – Pro-

sze powiedzieć, z czym pan przyszedł. Ludzie się niecierpliwią.

– Tak... Oczywiście... – Ostatnie wydarzenia podziały na niego deprymująco. Nie wiedział, od czego zacząć. Jakby tego było mało, dopadły go nagle wątpliwości, czy dobrze robi.

– To jak, dowiem się? – Policjant obdarzył petenta leniwym spojrzeniem. Chwycił za kubek, wypił łyk, krzywiąc się. – Kurwa... Wystygła...

– Więc... – Saran zebrał się w końcu na odwagę.

– Moment! – Uciął szybko. Z naczyniem w dłoni zniknął w drzwiach z napisem: „Nieupoważnionym wstęp wzbroniony”, pojawił się w nich jakiś czas później. Nad kubkiem unosiła się para. – Do rzeczy.

– Chciałem zgłosić zaginięcie żony.

– Zaginięcie żony?

– Tak. – Saran nie był pewny, ale miał wrażenie, że policjant uśmiechnął się ironicznie pod nosem.

– Małżonka leczy się psychiatrycznie? – Policjant skrzywił się, oparzywszy usta. – Jak nie zimna, to wrzątek...

– A co to ma do rzeczy?

– Czym pan się zajmuje? – Uważnie otaksował rozmówcę wzrokiem.

– Montażem, naprawą i konserwacją wind... – wybąkał Saran. – Nadal nie rozumiem, jaki to ma związek z...

– Pan się zna na windach – wszedł mu bezceremonialnie w słowo – ja na przyjmowaniu zgłoszeń o zaginięciach. To jak, leczy się psychiatrycznie?

– Nie.

– Czy zaginięcie miało miejsce już wcześniej? – pytał znudzony.

– Nie. To jest pierwszy raz.

– Ile czasu upłynęło od zaginięcia? – Funkcjonariusz ziewnął.

– Nie wiem.

– Co? – Pierwszy raz policjant się zaciekawił.

– Wczoraj nie wróciła do domu z pracy – tłumaczył nerwowo. – Telefon ma wyłączony... Dzisiaj rano nie pojawiła się w biurze...

– Aha. – Uśmiechnął się tajemniczo. – Rozumiem...

– Co pan takiego rozumie? – Saran zaczął się de-nerwować. Nie tak wyobrażał sobie składanie zeznań. Nie dość, że wciąż wyczuwał smród po poprzedniku, to jeszcze policjant mówił tak głośno, że chyba było go słyszać na końcu kolejki. Gdzie prawo do prywatności?!

– Teraz zadam panu bardzo ważne pytanie. – Funkcjonariusz patrzył prosto w oczy petenta. – Na jakiej podstawie wnioskuję pan, że żona zaginęła?

– Przecież powiedziałem, że nie wróciła na noc do domu.

– Domyślam się, że żona jest pełnoletnia?

– Zgadł pan! – Irytował się coraz bardziej. – Szkoda, że to nie jest teleturniej, mógłby pan coś wygrać!

– Żartowniś się znalazł – cmoknął wymownie. – Dobrze... Zatem spytam inaczej: czy ma pan jakieś dowody wskazujące na to, że żona faktycznie zaginęła? Mówię: faktycznie, bo jako osoba pełnoletnia ma prawo do spędzania nocy, gdzie chce. Na przykład na występie tancerzy erotycznych. Wczoraj dawali pokaz w...

- Wypraszam sobie takie uwagi! – krzyknął.
- Spokojnie. – Wykonał uspokajający gest dłonią.
- Wzniosę się na wyżyny cierpliwości i spytam raz jeszcze: czy ma pan jakieś dowody, że żona faktycznie zaginęła, a nie spędziła nocy z koleżankami na imprezie?
- Wydaje mi się, czy funkcjonariuszowi policji przyjmującemu zgłoszenie o zaginięciu osoby bliskiej nie wolno tego faktu komentować w sposób, który może być odebrany jako obraźliwy lub nieprzyjemny?
- Saran w duchu podziękował staruszce z mężem chorym na Alzheimera.
- To nie był komentarz.
- Gdyby poszła na imprezę z koleżankami w poniedziałek po pracy, to powiedziałyby mi o tym – wyjaśnił.
- A dowód mam, proszę. Oto esemes, który mi wczoraj wieczorem wysłała.
- Esemes? – Policjant z podwójnym podbródkiem zmarszczył brwi. – Nie mógł pan tak od razu?! Niech go pan pokaże!
- Saran wyciągnął smartfon, dotknął kilka razy ekranu, położył aparat na ladzie.
- Funkcjonariusz przeczytał uważnie treść wiadomości, potem zrobił to jeszcze dwa razy, na koniec potarł dłonią zmęczoną twarz i powiedział:
- To jest na pewno ten esemes?
- Mężczyzna potaknął.
- Zatem albo jestem ślepy, albo tu pisze: „Skarbie, musiałam wyjechać na jakiś czas pozbierać myśli. Poradzisz sobie beze mnie” – przeczytał policjant.
- Jest napisane – szepnął Saran.
- Że co?

– Nie mówi się: „pisze”, tylko: „jest napisane” – wyjaśnił.

– Poliglota się znalazł – zachnął się policjant.

– Poliglota to...

– Wiem, co oznacza to słowo. – Irytował się coraz bardziej. – W moim głosie próbowałem zawrzeć ironię.

– Chyba sarkazm... Mniejsza z tym – Saran machnął lekceważąco ręką – chciałem zgłosić zaginięcie żony.

– Na podstawie tego esemesa? – Zmarszczył brwi tak, że zlały się w jedną.

– Na podstawie tego esemesa i faktu, że na końcu wiadomości jest tylko uśmiechnięta buźka...

Funkcjonariusz wytrzeszczył oczy ze zdziwienia.

– Brakuje kropki – wytłumaczył Saran po chwili krępującego milczenia.

– Kropki? – Upewnił się.

– Kropki kończącej drugie zdanie – kontynuował.

– Powinna być przed buźką. Ktoś mógł żonę zmusić do wysłania takiej uspokajającej wiadomości, a brak kropki jest sygnałem alarmowym dla mnie.

– Sygnałem alarmowym dla pana?... – Przygryzł wargę, zmuszając się do zachowania powagi. – Naprawdę?...

– Tak. – Saran odczuwał coraz większe napięcie związane z absurdalnością sytuacji. Cała pewność siebie, z jaką przyjechał na komisariat, zniknęła bezpowrotnie.

– Moja żona jest z wykształcenia filologiem polskim i zawsze bardzo dba o czystość języka ojczystego.

– Domyślam się... – Po twarzy policjanta było widać, że z trudem nad sobą panuje.

– Dla przykładu nigdy nie zaczyna wiadomości mejlowej słowem „Witam” – mówił niezrażony. – Podobnie jak Michał Rusinek... Pewnie nie wie pan nawet, o kim mówię...

– O sekretarzu Wisławy Szymborskiej – skontrował błyskawicznie funkcjonariusz. – Niech się panu nie wydaje, że jak ktoś jest policjantem, to z niego ostatni głąb!

– warknął. – Coś jeszcze?

– Poza tym, że chciałem zgłosić zaginięcie żony, to nic – wycodził.

– Na podstawie brakującej kropki w esemesie?... Nie nabijam się z pana, tylko upewniam.

Ktoś z kolejki parsknął śmiechem. Saran nie miał pojęcia, kto, ale i tak czuł palące spojrzenia na plecach. I po co mu to było? Sasza zapewne rzeczywiście zaszalała gdzieś na mieście, a przyjaciółki, do których dzwonił, kryły ją przed nim, mając przy tym jeszcze dodatkowy ubaw...

Policjant z dwoma podbródkami podniósł słuchawkę telefonu, odczekał kilka sekund.

– Beata?... Wysyłam do ciebie pana, który chce zgłosić zaginięcie żony... Sama zobaczysz... Pokój dwieście dwanaście, drugie piętro – skierował te słowa do peten-ta. – Koleżanka już na pana czeka.

– Dziękuję – rzucił. Nie oglądał się za siebie, ale i tak był pewien, że odprowadza go nie tylko jedna para oczu.

*

Początkowo policjantka słuchała cierpliwie, ale gdy pokazał wiadomość od Saszy, z trudem nad sobą zapanowała.

- Śmiesz to panią? – rzekł zrezygnowany.
- Proszę wybaczyć, ale czegoś takiego jeszcze nie widziałam...
- Nie dziwię się – odciął się momentalnie. – Ile lat służy pani w policji? Dwa?... Trzy?...
- Na tyle dużo, żeby mieć doświadczenie w sprawach zaginięć, proszę pana – skontrowała.
- I co to doświadczenie pani podpowiada? – spytał, nawet nie próbując kryć sarkazmu.
- Wziął pan pod uwagę, że żona ma dość? Że postanowiła coś w swoim życiu zmienić? Że już pana nie kocha?
- Wybałuszył oczy ze zdziwienia.
- Taką opcję trzeba mieć na podorędziu – mówiła dalej. – Dobry policjant jest jak Sherlock Holmes: nie ogranicza się do najbardziej prawdopodobnego rozwiązania, tylko rozpatruje wszystkie możliwości.
- Zaraz mi pani powie, że porwali ją kosmici? – obruszył się Saran. – Każdemu facetowi, który przychodzi do was złożyć zawiadomienie o zaginięciu żony mówi pani o tym, że to z powodu braku miłości?
- Zdziwi się pan, ale tak – potwierdziła. – Większość takich zaginięć to wcale nie są zaginięcia. Ludzie mają po prostu dość: życia, kieratu w pracy, harowania na współmałżonka i dzieci. Wytrzymują długo, czasami bardzo długo... Bywa, że do takiej decyzji dojrzewają całymi latami... Często nie zdradzają wcześniej żadnych oznak, a nawet, jeśli coś po nich widać, to są skutecznie ignorowani przez otoczenie. W końcu coś w nich pęka, pakują kilka najważniejszych rzeczy i wychodzą z domu. Niektórzy znikają tak, jak stoją: bez ubrań na zmianę,

tylko z kluczami do mieszkania, portfelem i telefonem w kieszeni.

– I co dalej? – zaniepokoił się. A jeśli Sasza faktycznie odeszła? Ostatnio rzeczywiście nie układało się między nimi najlepiej. – Odnajdują się?

– Odnajdują się albo się nie odnajdują. – Wzruszyła ramionami. – A jak się odnajdują, to bywa, że dopiero po latach. Musi pan jednak liczyć się z tym, że jeśli żona rzeczywiście odeszła, to w momencie, w którym uda się ustalić miejsce jej pobytu, może ona nie wyrazić zgody na poinformowanie o tym fakcie rodziny, czyli pana.

– To nawet się nie dowiem, że ją znaleźliście?
– Nie mógł uwierzyć.

– Takie mamy prawo w tym kraju – wyjaśniła cierpliwie. – Oczywiście w przypadku wystąpienia o rozwód może pan...

– Rozwód? – jęknął.

– Wiem, że to może być dla pana cios, ale proszę przyjąć, że to prawdopodobne: żona już pana nie kocha.

– Myśli pani?

– A pan ją kocha? – spytała cicho.

– Ja? – Saran patrzył na kobietę, zastanawiając się, czy rozmawia z policjantką czy z psychoterapeutką.

– Tak.

– Zawahał się pan.

– Ja?... – Zrobił minę niewiniątka. – Niemożliwe... Musiało się pani wydawać...

– Doświadczony policjant od razu to wyczuje – odparła pobłaźliwie. – Dzwonił pan do szpitali?

Potaknął.

- Tych pod Wrocławiem też? – pytała dalej.
- Tak.
- Koleżanki z pracy?... Przyjaciółki?... Mama?.... Siostra?... – wyliczała.
- Obdzwońłem je wszystkie. Przyjaciółki i koleżanki z pracy też, przynajmniej te, o których wiem – powiedział zgodnie z prawdą. – Ale według pani teorii akurat to nie daje mi żadnej gwarancji.
- Nie rozumiem?
- Jeśli żona ode mnie odeszła, nie informując mnie o tym fakcie, a następnie skorzystała z gościny przyjaciółki, to pewnie ją poprosiła, aby nic mi nie mówiła...
- Punkt dla pana.
- Sprawdzicie miejski monitoring? – spytał Saran.
- Cały?
- Chociaż ten na trasie z pracy do domu...
- Proszę pana, takie czynności podejmowane są w przypadku zaginionych pierwszej kategorii, czyli osób które opuściły ostatnie znane miejsce pobytu w sposób nagły, a dodatkowo okoliczności uzasadniają podejrzenie popełnienia wobec niej przestępstwa przeciwko życiu, zdrowiu lub wolności – wyrecytowała wyuczoną formułkę.
- Może pani mówić po polsku?
- Czy ktoś był świadkiem porwania pańskiej żony?... Grożenia jej?...
- Mam tego esemesa...
- Proszę mnie źle nie zrozumieć, ale...
- Tak... Wiem... – westchnął Saran. – Brak kropki w wiadomości tekstowej nie jest wystarczający...

– Mogę panu coś podpowiedzieć... – zamyśliła się.
– Proszę sprawdzić w domu, czy żona nie zabrała z sobą jakichś rzeczy, nawet tylko kilku. Zwykle uciekinierzy biorą w pośpiechu parę fatałaszków, potem, gdy prze myślą sprawę i się ogarną, wracają po więcej. Albo przyjeżdżają od razu z firmą przewozową.

– Tyle? – Nie dowierzał. – To wszystko, co mogę zrobić?

– Pouczam pana o prawie do zgłoszenia zaginięcia osoby bliskiej, ale doradzam wstrzymanie się chociaż na kilka dni. Bardzo prawdopodobne, że w tym czasie żona skontaktuje się z panem i wyjaśni przyczyny swojego postępowania...

– A jeśli nie?

– A jeśli nie, to zapraszam do siebie. Proszę tylko zabrać zdjęcie żony w dobrej jakości. Na tym, które pan przy sobie ma, wygląda pięknie, ale jest nieco rozmazana. W razie pytań proszę dzwonić, zapiszę panu numer.
– Wydarła karteczkę z notatnika, wykaligrafowała starannie dane. – Jeżeli odbierze kolega, proszę mu powiedzieć, że już pan ze mną rozmawiał.

– Dobrze.

– Proszę być dobrej myśli. – Uśmiechnęła się delikatnie. – Na pewno wszystko się wyjaśni.

– Oby. – Pożegnał się i opuścił pokój. Przechodząc obok recepcji, spojrzał w kierunku policjanta z podwójnym podbródkiem, który – uporawszy się wreszcie z kolejką – wypełniał jakieś dokumenty. Nie powiedział „do widzenia”, wyszedł, zamykając za sobą ostrożnie drzwi bez szyby, po czym stanął przed budynkiem, patrząc na tłum ludzi przewalających się chodnikiem.

Wyjął smartfon, wybrał numer Saszy, ale pojawił się ten sam komunikat: „Abonent ma wyłączony telefon lub jest poza zasięgiem sieci...”.

Pełen złych przeczuć ruszył w stronę auta.

Rozdział 1

Poznań

Nowy gmach Sądu Okręgowego w Poznaniu kosztował 130 milionów złotych, miał cztery kondygnacje nad ziemią i dodatkowe trzy pod. Pieniądze do małych nie należały, ale szczerze trzeba było przyznać, że budynek robił wrażenie nie tylko na przyjezdnym z okolicznych miejscowości, ale także na samych mieszkańcach. Pełno było w nim najnowszych rozwiązań technicznych, jak oddzielne korytarze dla sędziów i pracowników – a osobne dla oskarżonych, świadków i publiczności – wszędziebyłskie kamery, czy wyposażone w słuchawki stanowiska, na których odsłuchiwano nagrania z rozpraw, a nawet nagrywano je na płyty.

Ogromny hol tętnił życiem i hałasem generowanym przez dziesiątki śpieszących na swoje rozprawy ludzi, świadków i prawników. Wrzawa była tym większa, że przez otwarte korytarze od parteru aż do trzeciego piętra ciągnęła się wielka szklana tafla ozdobiona u góry wielkim orłem, dodatkowo odbijając dźwięki.

Wielkie obrotowe drzwi pracowały niemal na okrągło, wypływając z siebie kolejne porcje petentów niczym maszyna losująca kuleczki w popularnej grze

liczbowej. Obok zlokalizowano drugie wejście, otwierane w tradycyjny sposób.

Dalia Chyba spojrzała na kolejki ciągnące się do obu drzwi. Widząc, że ta do obrotowych jest dłuższa, podjęła decyzję.

Stojący przed nią mężczyzna – dawała mu dwadzieścia pięć lat, może kilka więcej – akurat rozmawiał z kimś przez telefon.

– Mówię ci, że ta suka jest ugotowana! – wrzeszczał do słuchawki tak, jakby był jedynym człowiekiem w promieniu kilometra. – Mecenaska powiedziała, że z takim dowodem sędzia nie ma innej możliwości, jak orzec o jej winie. Gówno dostanie, a nie apartament! – zaśmiał się głośno.

Dalia Chyba spojrzała na niego, potem na stojącej obok śmietnik. Przez ułamek sekundy przyszło jej do głowy, żeby chwycić oburącz kosz i trzasnąć nim chama w głowę. Kojarzyła gówniarza doskonale, stał przed drzwiami sąsiedniej sali, pewnie też czekał na sprawę rozwodową. A ta suka to z pewnością jego żona, jeszcze aktualna, już niedługo była. Entuzjizm, z jakim streszczał rozmówcy zeznania jakiegoś ważnego świadka, dowodził, że wygraną ma w kieszeni.

Jakby rozstanie dwojga kochających się wcześniej ludzi można było rozpatrywać w kategoriach meczu: ktoś wygra, ktoś inny poniesie sromotną porażkę! – pomyślała. Miała ochotę wrzeszczeć! Nagle zmieniła zdanie, skierowała się ku drzwiom obrotowym. Chwilę później, gdy pasek od torebki zaklinował się między szybą i szcztoką, mocno tego pożałowała.

Zbliżała się do czterdziestki, mimo to wciąż była bardzo piękną kobietą – chociaż akurat dziś trudno było na twarzy doszukiwać się radości, która zwykle dodawała jeszcze urody – nic dziwnego, że idący za nią mężczyzna przyszedł w sukurs.

- Pomogę pani. – Miał miły, ciepły głos.
- Nie trzeba – zaoponowała instynktownie.
- Drobiazg. – Chwycił za pasek i przekręcił go na płask.
- Proszę... I już po wszystkim! – Uśmiechnął się.
- Sama też bym sobie poradziła – rzuciła, wyszedłszy na zewnątrz.
- Oczywiście. – Potaknął.
- Uważa mnie pan za blondynkę? – Błędnie zinterpretowała jego zachowanie. – Może pan jeszcze zaraz zadzwoni do kolegi, żeby pochwalić się, jak to głupia gąska zatrzasnęła drzwi obrotowe?
- Proszę pani, chciałem tylko pomóc. – Na twarzy mężczyzny widać było zakłopotanie. – Zważywszy na charakter miejsca – pokazał palcem na gmach sądu – zgaduję, że jest pani zdenerwowana.
- Nic pan nie wie.
- Wiem, że chciałem tylko pomóc – westchnął.
- Mimo wszystko życzę pani miłego dnia. – Odwrócił się, skinąwszy delikatnie głową.
- A ja panu nie życzę! – krzyknęła za oddalającym się mężczyzną, niemal od razu tego żałując. Pomyślała, żeby pobiec za nim i przeprosić, ale wtedy torebka dała o sobie znać charakterystyczną wibracją.
- Cześć, mamusiu – rzekła, odebrawszy połączenie.
- Słoneczko, dzwoniłam do ciebie z sześć razy!

– Miałam wyciszony telefon – wyjaśniła Dalia Chyba.
– Dopiero co wyszłam z sali rozpraw.

– No właśnie! Bo ja dzwoniłam, żeby spytać, czy już jesteś po... Strasznie długo to trwało... Żeby trzymać tak ludzi na sali sądowej przez pięć godzin?...

– Pięć godzin?

– Dochodzi pierwsza po południu, córeczko – zauważyła.

– Mamo, przecież wysłałam ci wiadomość, że tym razem rozprawa zaczyna się o dwunastej, nie o dziewiątej!

– Nic mi nie wysyłałaś...

– Mamo... – skrzywiła się. – Nie mam teraz ochoty na kłótnie o pierdoły...

– Masz rację! Powiedz lepiej, co było na rozprawie.

– Dostaliśmy rozwód i tyle – odparła cicho. Niewiele pamiętała z tego, co powiedziała sędzia. Od rana była tak roztrzęsiona, że wszystko leciało jej z rąk. Teraz, kiedy próbowała sobie przypomnieć, co wydarzyło się na rozprawie, nadal czuła drżenie całego ciała. W głowie jak echo pobrzmiwały słowa sędzi: „Małżeństwo stron zostaje rozwiązane...”. Dalej niewiele słyszała, zresztą nawet nie chciała, bowiem większość spraw ustalili wcześniej adwokaci i sąd tylko przypieczętował sukces męża. Byłego już męża – poprawiła się machinalnie.

Od samego początku skazana była na przegraną. Ale mogło być inaczej, skoro Jerzy sprawę rozwodową rozpoczął od oszustwa? Doskonale kojarzyła ten dzień, kiedy po długiej i szczerej rozmowie – pierwszej od wielu miesięcy przepełnionych kłótniami i awanturami – podjęli decyzję o rozstaniu. Zaproponował wówczas, aby oszczędzili sobie kosztów oraz nerwów i złożyli

wniosek o rozwód bez orzekania o winie. Przyklasnęła temu, nie mając pojęcia, na jaką minę się pakuje. Przekonała się o tym na pierwszej rozprawie – która zgodnie z tym, co mówił Jerzy, miała być jednocześnie ostatnią – gdy zjawił się w asyście adwokatki z idealnie upiętym kokiem i paznokciami pomalowanymi na wściekłą czerwień. Przez moment zastanawiała się, czy nie ma z nią romansu, szybko jednak stwierdziła, że nawet dla takiego przystojniaka jak on progi były za wysokie.

Obecność prawniczki stała się pierwszym zaskoczeniem, ale prawdziwy cios miał dopiero nadejść. W uszach jeszcze brzmiały słowa adwokatki wnoszącej o orzeczenie rozwodu z jej winy! Kiedy to mówiła, Jerzy wpatrywał się tępo w sufit, unikając spojrzenia małżonki pełnego zdziwienia i wyrzutu.

Nie miał nawet odwagi spojrzeć mi w oczy, skurwysyn! – wrzasnęła w myślach. Czuła się wtedy jak na lekcji wychowania fizycznego w ogólniaku, gdy – puszczo-na przez partnerkę w ćwiczeniach – grzmotnęła głową w ścianę. Na szczęście zachowała na tyle zdrowego rozsądku, aby wnieść o odroczenie rozprawy, na co prowadząca rozprawę sędzia zgodziła się mimo sprzeciwu wypindrzonej mecenaski.

Potem były miesiące gehenny i niezliczone rozprawy, na których ich wspólni znajomi i przyjaciele dziwnym zbiegiem okoliczności w przeważającej większości świadczyli na korzyść Jerzego, z niej robiąc niemalże tanią dziwkę szukającą okazji do usidlenia faceta z powodu jego majątku.

Kiedy więc przesadnie wypachniona prawniczka złożyła jej propozycję szybkiego zakończenia sprawy

w zamian za – jak to wtedy określiła: drobne ustępstwa – nie wahała się ani chwili. Zanim dotarło do niej, że wpadła w kolejną pułapkę, było już zdecydowanie za późno.

Na szczęście pomogli jej wtedy rodzice i pożyczyli na dobrego adwokata. Ten szybko znalazł jakiś kruczek prawny, dzięki któremu dostała przynajmniej dom, bo pierwotnie i to miała stracić, zostając praktycznie gołą jak święty turecki.

– Słoneczko, jesteś tam jeszcze? – Ze słuchawki dobiegał zniecierpliwiony głos matki.

– Jestem. – Dalia Chyba przywołała się do porządku.

– Jak się czujesz?

– Mamo, a jak mogę się czuć? – Rozglądała się nerwowo, szukając wzrokiem swojego białego volkswagena beetle.

– Z pewnością byłoby ci łatwiej, gdybyś nie była tam sama. Dlaczego nie chciałaś, żebym z tobą poszła?

– Mamo, jestem już dużą dziewczynką...

– Tata też by przyjechał. – Zachowywała się tak, jakby w ogóle nie słuchała córki. – Wystarczyło go tylko poprosić.

– Właśnie: poprosić – rzekła kąśliwie.

– Wiesz, co miałam na myśli!

– Wiem, co ja miałam na myśli – odcięła się błyskawicznie.

– Córeczko...

– Mamo, nie mam teraz siły na rozmowę – przerwała gwałtownie Dalia Chyba. – Chcę wrócić do domu, wziąć kąpiel i o niczym nie myśleć. – Wiedziała, że do pracy nie może wrócić, jeszcze nie teraz, gdy wszyst-

ko, co było z nią związane, przypominało o dramacie. Zwolnienie lekarskie miało się skończyć za trzy tygodnie. Co zrobi potem, nie miała pojęcia.

– Trudno będzie ci nie myśleć...

– Mamo! – zirytowała się.

– Już dobrze, kończę... Ale pamiętaj, że w każdej chwili możesz do mnie zadzwonić. Dobrze?

– Dobrze.

– Obiecujesz?

– Co mam obiecać? – Dalia Chyba miała już dość rozmowy.

– Że zadzwonisz, jeśli... Jeśli... – Szukała odpowiedniego słowa. – Jeśli poczujesz się gorzej.

– Obiecuję – rzuciła na odczepnego. – Pa, mamo.

– Zakończyła rozmowę. Wsiadła do auta, rzuciła torebkę na siedzenie pasażera, skierowała kluczyk w kierunku stacyjki, ale ten jak na złość nie chciał wejść. Siłowanie trwało kilka sekund, zanim zorientowała się, że w palcach trzyma klucz do korka od baku.

Poczuła łzy napływające do oczu. Nabrała głęboko powietrza nosem, po chwili wypuściła je przez usta, powtórzyła czynność kilka razy, przywołując się do porządku. Nie chciała płakać tu, gdzie mógł ją zobaczyć każdy przejeżdżający kierowca. Chwyciła właściwy kluczyk, odpaliła auto, ostrożnie wyjechała z parkingu. Daleko jednak nie ujechała, trafiła na korek.

Chcąc nie chcąc, zajęła miejsce w kolejce i właśnie wtedy zadzwoniła komórka. Nawet nie spojrzała na wyświetlacz, odebrała machinalnie.

– Mamo, powiedziałam ci, że...

– Dzień dobry, moja kochana.

Wystarczyło, że Dalia Chyba usłyszała tych kilka słów, a żołądek zareagował momentalnie. W ułamku sekundy ścisnęła go potężna żelazna pięść.

– Jadę autem, nie mogę... – powiedziała. Ostatnią osobą, z którą miała ochotę urządzać sobie teraz pogaduszki, była teściowa!

– Kochana – przerwała gwałtownie – zajmę ci tylko chwilkę.

– Prowadzę auto, nie mogę teraz rozmawiać – tłumaczyła.

– Bzdura – ucięła krótko.

– Kiedy ja naprawdę...

– Teraz ja mówię – rzuciła ostro. – Zapomniałaś już, kochana, że nie przerywa się rozmówcy? Tyle czasu poświęciłam, żeby nauczyć cię dobrych manier, ale jak widzę, bez skutku. – Cięła słowami jak świeżo naostrzoną brzytwą. – Niechętnie sama przed sobą się do tego przyznaję, ale jesteś moją wychowawczą porażką.

Nie to, co Jerzy! – pomyślała. Zaciśnęła palce na kierownicy, klnąc na siebie w myślach za odebranie połączenia. Nawet kiedy jeszcze byli razem, rozmowy z jego mamusią kosztowały ją tyle nerwów, że matura to był przy tym nic nieznaczący epizod. Wolałaby włożyć usta w paszczę zmii, niż zbliżyć je do policzka tej jędry. Można było spodziewać się po niej największej podłości, rekordową popełniła już po rozpoczęciu sprawy rozwodowej. Wynajęła wtedy pewnego przystojniaka, który ni stąd, ni zowąd, zaczął biegać jej ulubioną poranną trasą. Pierwszego dnia skinął tylko uprzejmie głową, drugiego rzucił krótkie „Cześć”, trzeciego się przyłączył, a dzień później zaproponował kolację, po której pewnie

zaciągnąłby ją do łóżka, pikantne szczegóły zaś wzbogaciłyby materiały wypindrzonej adwokatki. Na szczęście dla siebie nie miała wtedy ochoty ani na związki, ani nawet na przygodny seks. Poza tym teściowa przedobrzyła, podając mięśniakowi za dużo szczegółów z ich prywatnego życia, przez co szybko wyczuła podstęp.

– Chciałam życzyć ci pomyślności na nowej drodze życia.

Głos kojarzący się z tarcie palcami o starą szkolną tablicę sprowadził Dalię Chybę na ziemię.

– I przypomnieć o pewnej bardzo ważnej kwestii – skrzeczała dalej teściowa.

– Jakiej? – Widząc, jak światła zmieniają się na zielone, wrzuciła jedynekę, ponaglając w myślach kierowców przed sobą.

– Nazwiska.

– Słucham? – spytała, irytując się na barana z przodu, który włókł się niemiłosiernie.

– Nosisz nazwisko mojego syna – wyjaśniła. – Nie jesteś już jego żoną, oczekuję więc, że wrócisz do swojego nazwiska i przestaniesz używać naszego. Mój mąż i ja pracowaliśmy na jego renomę wiele lat...

– Mój adwokat powiedział, że powrót do dawnego nazwiska jest wyłącznie moją wolą. – Tym razem to Dalia Chyba weszła w słowo teściowej, rejestrując kolejną zmianę światła. – I ani twój syn, ani twój mąż, ani tym bardziej ty nie możecie mnie do tego zmusić. Dzięki temu, że do mnie zadzwoniłaś pół godziny po ogłoszeniu wyroku wiem, jak bardzo zależy ci na tym, żebym nie nosiła nazwiska twojego ukochanego synalka. – Z żółtego zrobiło się nagle czerwone. Na ułamek sekundy

uniosła nogę z pedału gazu, chcąc nadepnąć na hamulec, ale się rozmyśliła. – Szczerze mówiąc, chciałam to zrobić, ale w takiej sytuacji z przyjemnością pozostanę przy pełnym nazwisku. Liczę, że będziesz o tym pamiętać za każdym razem, kiedy przyjdzie ci podpisać jakiegokolwiek dokument. – Zakończyła połączenie, czując podwójną satysfakcję: nie dość, że dopiekła tej wrednej babie, to jeszcze udało się jej pokonać zakorkowane skrzyżowanie.

Uśmiechnęła się szeroko, zerknęła w lusterko, chcąc zobaczyć tę radość, ale zamiast tego dostrzegła migające światło radiowozu. Przez chwilę łudziła się nadzieją, że policjanci włączyli sygnały w drodze na interwencję, ale się myliła.

Zatrzymała samochód w zatoczce autobusowej. Czekając na przyjście funkcjonariusza oddychała głęboko, starając się opanować drżenie rąk i wzbierający płacz.

Jak nie urok, to sraczka! – zawyła w myślach, opuszczając maksymalnie szybko.

– Krzysztof Biegun, komenda miejska policji, ruch drogowy – przedstawił się funkcjonariusz. – Powodem pani zatrzymania jest niestosowanie się do sygnału czerwonego na sygnalizatorze.

– Wiem, bardzo przepraszam... – zaczęła. – Zdarza mi się to pierwszy raz...

– Pierwszy raz? – Pokiwał głową z niedowierzaniem.
– Większość kierujących tak mówi. Poproszę prawo jazdy, dowód rejestracyjny, polisę ubezpieczeniową oraz dowód osobisty, jeśli pani ma przy sobie.

– Proszę bardzo. – Podała dokumenty.

– Używanie telefonu komórkowego w czasie jazdy jest zabronione. – Policjant oglądał z uwagą dowód rejestracyjny. – Też zdarzyło się to pani pierwszy raz?

– A pan nigdy nie rozmawia przez telefon w czasie jazdy? – Odbiła piłeczkę.

– To pani została zatrzymana za wykroczenie, nie ja – uciął ostro. – Może pani wyjaśnić, dlaczego nie zastosowała się pani do sygnału czerwonego?

– Proszę pana... – spojrzała na zegar na tablicy rozdzielczej – niecałą godzinę temu sąd okręgowy orzekł rozpad mojego małżeństwa. Rozmowę przez telefon komórkowy, której był pan świadkiem, prowadziłam z matką mojego byłego już męża, która zadzwoniła tylko po to, żeby życzyć mi szczęścia na nowej drodze życia i jak się pan słusznie domyśla, były to życzenia obliczone na poniżenie mnie – mówiła zrezygnowana. – Wiem, że to mnie nie usprawiedliwia, ale mam przynajmniej nadzieję, że nie potraktuje pan tego jak standardowego wykrętu wymyślanego przez większość kierujących. Jestem ostrożnym kierowcą, w życiu nie dostałam mandatu. Może pan to sprawdzić.

– Na pewno. – Machnął dokumentami, wrócił do radiowozu.

Oczekiwanie dłużyło jej się strasznie. Bębniła nerwowo palcami, próbując sobie przypomnieć, jak wysoki mandat grozi za przejechanie na czerwonym i rozmowę przez komórkę.

– Miała pani rację: konto jest czyste – powiedział, wróciwszy z papierami. – Zwracam dokumenty.

– Może tym razem skończymy na pouczeniu? – spytała niepewnie.

– Pouczam panią o prawie do odmowy przyjęcia mandatu – rzucił oschle. – W takim wypadku zostanie przeciwko pani skierowany wniosek do sądu.

– Bardzo pana proszę...

– Za przejazd przez skrzyżowanie na czerwonym świetle grozi od trzystu do pięciuset złotych mandatu – mówił dalej niewzruszony. – Nakładam na panią trzy-sta złotych i sześć punktów karnych. Telefon tym razem pani daruję. Przyjmuje pani mandat?

– A mam wyjście? – rzekła wolno.

– Może pani odmówić, wówczas...

– Proszę pana – weszła mu w słowo – sądów to ja mam na jakiś czas dość.

– Czyli przyjmuje pani mandat?

Zacisnęła zęby, siłą woli powstrzymując się od płaczu. Mimowolnie wzrok powędrował w kierunku kabury. Nieświadomie oceniła odległość, to było trzydzieści centymetrów, może kilka więcej. Gdyby wyciągnęła rękę, odpięła ją i chwyciła za pistolet, to...

To co? – spytała samą siebie w myślach.

– Słucham pani decyzji. – Głos policjanta zabrzmiał jak dzwon w kościele bijący na mszę.

– Przyjmuję.

– Proszę poczekać w samochodzie, za chwilę do pani wrócę.

*

Dalszą drogę do domu pokonała jak pijana, nie za bardzo zdając sobie sprawę, co robi. Gdy znalazła się niedaleko celu, ocknęła się z tego dziwnego letargu, uświadamiając sobie, że nawet nie pamięta, którymi ulicami jechała. Spojrzała na zegarek, zakłęła

cicho. Powinna się pośpieszyć, nowa niania nie lubiła nadgodzin!

Wrzuciła kierunkowskaz, chcąc skrócić w ślepą uliczkę, musiała się jednak zatrzymać, drogę tarasował van w charakterystycznym brązowym kolorze jednoznacznie kojarzący się jej z kupą.

Mężczyzna za kierownicą skinął głową, uśmiechając się przy tym szeroko. Podobnie postąpiła siedząca obok kobieta. Dalia Chyba odruchowo odpowiedziała takim samym gestem, po czym machnęła ręką, dając sąsiadowi znak, że go przepuszcza. Podniósł dłoń w ramach podziękowania.

Czekając, aż van zwolni miejsce w uliczce, przyglądała się roześmianym twarzom siedzących w pojeździe dzieci. Sąsiedzi mieli piątkę potomstwa, ale nawet biorąc pod uwagę ich nie najgorsze przecież zarobki – on był wicedyrektorem liceum, uczył też polskiego, ona pracowała jako salowa w szpitalu – zawsze zastanawiała się, jak udaje im się wiązać koniec z końcem, nie mówiąc już o tym, skąd brali siły do obrabiania takiej gromadki? Ona i Jerzy mieli jedno dziecko, a i tak od momentu urodzin Jagody funkcjonowali jak żywe trupy. Może gdyby jego mamusia nie brzydziła się tak zmieniać zafajdanych pieluch, byłoby nieco łatwiej...

Dość! – odrzuciła myśl o znienawidzonej teściowej, parkując swojego żuczka na podjeździe, którego Jerzy nigdy nie dokończył. Każde przypomnienie zbywał, tłumacząc się nawałem pracy i zmęczenia. Gdyby miała więcej sił, sama ułożyłaby ażurowe płyty, stały pod ścianą garażu, czekając tylko na montaż. Wynaję-

cie do tego budowlańca też nie wchodziło w grę, wiedziała z doświadczenia, że Jerzy odebrałby to jako podważenie swojej męskości.

– Jerzy... – westchnęła. Nie Jurek, Juruś, Juro – a już Jerzyk, broń Boże! – tylko Jerzy. Wszyscy członkowie rodziny, przyjaciele, znajomi i koledzy z pracy wiedzieli, że nie uznaje zdrobniałej formy swojego imienia. Ba, nawet ludzi spotykanych raz w życiu – na przykład w przychodni czy urzędzie – upominał, gdy pozwolili sobie na, jak to nazywał, zbytnią poufałość.

I ja za niego wyszłam... – rzuciła w myślach, patrząc na coraz większe koleiny żłobione przez koła jej volkswagena. W jednej chwili podjęła decyzję, że wykosztuje się, ale wreszcie wynajmie kogoś, kto ułoży te nieszczesne płyty.

Drzwi wejściowe otwierała z ulgą, gratulując sobie w duchu, że tak twardo obstawała przy tym, aby dom przypadł w udziale jej, on dostał kawalerkę w centrum, którą kupili jako lokatę kapitału i do tej pory wynajmowali. Chociaż tyle udało się jej wytargować. Wiedziała, że Jerzy zgodził się właściwie tylko z jednego powodu: jego mamusia nigdy tego domu nie lubiła. Przy każdej okazji zwykła zresztą komentować wystrój, robiła to oczywiście w ten swój złośliwy, pełny perfidii sposób. Była jak dziecko celujące śnieżkami prosto w twarze kolegów, a potem udające, że bolesne uderzenie jest wynikiem przypadku. Nie bez znaczenia był również fakt, że teściowie obiecali mu kupno nowego domu. Mało ją to interesowało, liczyło się to, że mogła tutaj zostać z córeczką.

– Wróciłam! – krzyknęła radośnie, przestąpiwszy próg. Od razu poczuła się lepiej, widok znajomego wnętrza działał kojąco. Kiedy drzwi się zatrzasnęły, wzdrygnęła się nerwowo, ale to i tak było nic w porównaniu do dreszczy towarzyszących jej na sali sądowej. – Nicola, jesteś jeszcze? – powiedziała głośno. – Halo!... Nicola!...

Odpowiedziała jej jedynie cisza.

Uświadomiwszy sobie, że niania znów wyszła, nie czekając na jej powrót, zezłościła się. Długo była z niej zadowolona, nawet bardzo – wzięwszy pod uwagę rotację wcześniej zatrudnianych opiekunek – ale odkąd zaczęła się spotykać z tym wytatuowanym od stóp do głów facetem starszym od niej chyba o dziesięć lat, zaczęła się zachowywać nieodpowiedzialnie. Tyle razy ją prosiła, żeby czekała, aż wróci, nawet gdy się spóźnia. Przecież umówiły się, że za każdą dodatkową godzinę płaci ekstra!

Na samą myśl, co by było, gdyby Jagoda obudziła się z drzemki, nie mając obok nikogo, ogarnął ją paniczny strach. Trudno, będzie musiała rozejrzeć się za inną, bardziej odpowiedzialną pomocą. Sąsiedzi z piątką dzieci kogoś jej nawet swego czasu polecali...

Kiedy mózg przywołał widok ich uśmiechniętych twarzy, poczuła w boku ukłucie zazdrości. Niektórym los sprzyjał...

Otrząsnęła się ze smutnej refleksji, nastawiła uszu, odniósłszy wrażenie, że z pokoju obok dochodzi jakiś gwar. Podeszła do drzwi, odczekała kilka sekund. Musiało się jej wydawać, bo nic nie było słychać. Ruszyła do kuchni, zastanawiając się, co przyrządzić na obiad dla siebie i małej.

Zielona Góra

Puk. Papierowa kulka wpadła do śmietnika stojącego tuż obok odrapanych drzwi jednego z pokoi Wydziału Kryminalnego Komendy Miejskiej Policji w Zielonej Górze. Puk. Druga zbita śnieżka wylądowała w miejscu poprzedniczki. Puk. Trzecia poszła ich śladem. Puk. Czwarta odbiła się od plastikowej krawędzi, balansowała na niej przez długą sekundę, jakby nie mogąc się zdecydować, po czym upadła obok pojemnika.

– I cały misterny plan poszedł się walić... – Komisarz Ryszard Grodzki potarł dłonią po głowie, myśląc o nieuchronnie zbliżającej się starości. Jeszcze nie tak dawno miał gęste włosy, może nie tak, jak swego czasu Zbigniew Wodecki, ale z pewnością bujniejsze niż obecnie. Jak zwykł mawiać jego psychoterapeuta: powodem postępującego łysienia mogła być trauma po zamachu bombowym, w którym on i jego partner – nadkomisarz Miłosz Bartosz Kleemann – zostali ciężko ranni po tym, jak pod ich samochodem eksplodował ładunek wybuchowy. Pirotechnicy orzekli później, że fakt, iż przeżyli, należało rozpatrywać w kategoriach cudu. Podobnie jak to, że wyszli z tego praktycznie w jednym kawałku, nie licząc kawałka małego palca, który Grodzkiemu obciął fragment fruwającej karoserii.

Kiedy po kilkumiesięcznej rehabilitacji wracał do służby i witały go serdeczne uściski kolegów oraz koleżanek, przez myśl mu nie przeszło, że niedługo potem z nowym naczelnikiem wydziału, Zdzisławem Brodą, wejdzie na ścieżkę wojenną.

Zaklął pod nosem na wspomnienie kłód, jakie nowy szef zaczął mu rzucać pod nogi już od pierwszego dnia współpracy. Kleemann o tyle miał lepiej, że dochodził do zdrowia dłużej, a gdy przekroczył progi komendy na Partyzantów, Broda swojego kozła ofiarnego już miał.

Najnowszym świństwem ze strony naczelnika było przydzielenie komisarzowi sprawy szajki złodziei naklejek z dyskontów sieci Stonka. Przecież taką pierdołą powinna zajmować się dochodzeniówka, a nie kryminalni!

Spojrzał na raport, który od samego rana próbował sklecić. Chwycił kartkę ze złością, zmiażdżył ją, rzucił w stronę śmietnika, nawet nie patrząc w tym kierunku. Pudło.

Odetchnął głęboko, podszedł do kosza na śmieci, zgarnął leżące na wytartym linoleum kulki, cisnął je do pojemnika. Wrócił do biurka, sięgnął po czystą kartkę. Wiedział, co chce napisać, ale odpowiednie słowa uparcie nie przychodziły do głowy. Z samego rana, kiedy tylko zaczął służbę, najpierw umył szklanki z parapetu, niektóre tak zatłuszczone, jakby nie czyszczono ich od czasu produkcji. Potem zatemperował ołówki, którymi zwykł robić robocze notatki. Na koniec uporządkował biurko swoje, Kleemanna i jeszcze jednego komisarza, który obecnie przebywał na urlopie. Jakby tego było mało, poprzestawiał segregatory z aktami na regale, bacząc, żeby stały idealnie równo. Zdawał sobie sprawę, że znajduje sobie coraz to nowsze zajęcia z obawy przed nieszczęsnym raportem, ale mimo tej wiedzy nie potrafił się przemóc.

A może to przez charakter dochodzenia? Od samego początku Grodzki był z tego powodu obiektem kpin. Nawet, gdy kasjerka, ochroniarz i dwóch studentów pracujących na umowę-zlecenie przyznali się do procederu i to od razu na pierwszym przesłuchaniu! Byli zresztą strasznie zdziwieni zatrzymaniem, nie licząc ochroniarza. Jakby ukradzenie dwudziestu ośmiu tysięcy naklejek nie było niczym złym.

Policjant sięgnął po telefon komórkowy, włączył kalkulator, szybko obliczył, że za taką ilość gadżetów mogli odebrać prawie pół tysiąca pluszaków. W internecie poszczególne egzemplarze stały mniej więcej po 50 złotych. Razem szajka mogła więc zarobić prawie 25 tysięcy złotych, a to była kwota, która nawet na komisarzu Grodzkim robiła wrażenie! I pomyśleć, że wszystko przez ogólnonarodowe szaleństwo wywołane jabłkami, borówkami, marchewkami, brokułami, pomidorami i innej maści zabawkami, za którymi szalały nie tylko dzieci, ale nawet dorośli. Komisarz sam był świadkiem, jak jakaś starsza kobieta zaczęła się w Stonce awanturować tylko dlatego, że kasjerka wręczyła jej lekko podartą naklejkę!

– Gównu mnie to obchodzi... – warknął pod nosem.
– Był czyn zabroniony, musi być kara. – Sięgnął po długopis, zaczął notować, mruczając z zadowolenia. Praca tak go pochłonęła, że nie zarejestrował nawet otwierających się drzwi.

Inna rzecz, że nadkomisarz Kleemann mimo wielkiej postury potrafił skradać się jak lis. Nic nie mówiąc, spojrzął na kolegę.

Widząc uśmiechniętą twarz komisarza można było odnieść wrażenie, że patrzy się na dobrodusznego

Misia Uszatka. Koledzy z komendy właśnie taką łatkę przyszyli Grodzkiemu, ale on nic sobie z tego nie robił. Więcej, z własnej aparycji uczynił metodę łapania przestępców, którzy traktowali go jak wujka dobrą radę, nie doceniając faktycznych umiejętności. Bo tak naprawdę komisarz nie był żadnym Misiem Uszatkiem, tylko najprawdziwszym grizzly. Miał w sobie przy tym niezwykłą konsekwencję: gdy na coś się zabrał, nic nie mogło go oderwać od obranego celu, a już na pewno nie wtedy, kiedy ktoś nadepnął mu na odcisk.

– I jak? – Kleemann ziewnął szeroko, zamykając drzwi. – Szajka pluszakowa złapana?

– Ty też się ze mnie nabijasz? – Grodzki nawet nie spojrzał na kolegę. – Ja się do tej sprawy nie pchałem. To вина tego sukinsyna Brody!

– Jak mu się postawiłeś okoniem, to masz.

– Okoniem? – Podniósł głowę. – Chciał ukreścić sprawie łeb, skurwysyn jeden! – Zezłościł się na wspomnienie głośnej sprawy korumpowania miejskich radnych przez znanego dewelopera. Dowody, do których wtedy dotarł, prowadziły do samego magistratu, Broda jednak nie pozwolił ich wykorzystać.

– Ale musiałeś walić z tym od razu do Sokoła?

– Nie wiem, o czym mówisz. – Wzruszył wymownie ramionami. Nikt, nawet Kleemann, nie mógł go powiązać z anonimowym źródłem w policji, które dziennikarz Andrzej Sokół – wolny strzelec pracujący na zlecenie różnych redakcji prasowych – wykorzystał w artykule, po którym w urzędzie miejskim poleciały głowy. Sokoła był pewien, wiedział, że nie ujawni jego tożsamości nawet, gdyby nakazał mu to sąd.

Inna rzecz, że na komendzie wszyscy domyślali się, kto puścił farbę. Jedni takie działania popierali, innym było nie w smak. Broda należał do tej drugiej grupy. Grodzki był pewien, że naczelnik próbował zatuszować sprawę nie z własnej woli, został przymuszony przez komendanta szykującego się do miękkiego lądowania na wcześniejszej emeryturze.

– Mniejsza z tym. – Kleemann machnął ręką. – Broda prosił cię o przysługę, a ty mu wywinąłeś numer jakich mało.

– Przysługę? Chciał kryć naczelnika z magistratu!

– Przysługę – powtórzył cicho. – W policji takie rzeczy zdarzały się odkąd tylko sięgam pamięcią. Nawet my nie wiemy o wszystkich powiązaniach w mieście, a robimy w interesie od dawna. Wyszedłeś na tym, jak Zabłocki na mydle.

– Tu masz rację – przyznał Grodzki. O ile prokuratura pod naciskiem opinii publicznej wszczęła w końcu śledztwo, o tyle utknęło ono w martwym punkcie, bo kolejni świadkowie w tajemniczych okolicznościach odwoływali wcześniejsze zeznania. Efekt był taki, że deweloper śmiał się wszystkim w twarz, na miejscu kolejnego parku miał się pojawić nowy apartamentowiec, radnych nie wyrzucono nawet z klubu, komendant odszedł do cywila bez skazy na mundurze, a odium złości naczelnika spadło na komisarza. I dlatego teraz musiał się babrać w naklejkach ze Stonki!

Wtem zaterkotał telefon. Nadkomisarz odebrał, rozmawiał krótko.

– Do ciebie – rzucił Kleemann. – Broda wzywa cię w trybie natychmiastowym.

– Tego mi jeszcze było trzeba. – Grodzki postawił kropkę na końcu ostatniego zdania, złożył zamaszysty podpis i przystawił pieczętkę. – Jak nie wrócę za pół godziny, przyslij posiłki – rzucił w drzwiach.

Kleemann się nie zaśmiał.

Komisarzowi też zresztą nie było do śmiechu.

*

Do gabinetu przełożonego Grodzki wchodził z duszą na ramieniu i obietnicą w sercu, że tym razem nie da się sprowokować, choćby Broda nie wiadomo jak się starał.

– Widziałem lepsze raporty – rzekł naczelnik, zdejmując okulary.

A ja widziałem lepszych śledczych – rzucił w myślach Grodzki.

– Prorok to widział? – spytał szef.

– Tak – skłamał gładko. Gdyby zawracał głowę prokuratorom każdą taką błahostką, któryś urwałby mu wreszcie łeb. Chociaż z drugiej strony o szajce trąbiły wszystkie media w kraju, więc może lepiej było dać im znać?

– Będzie wniosek o areszt?

– Areszt? – Nie wierzył własnym uszom. Nominalna wartość naklejek była może i wysoka, ale kto o zdrowych zmysłach chciałby wsadzać za kratki wyłudzaczy pluszaków?

– Wysoka szkodliwość społeczna czynu...

– Wysoka? – Grodzki w jednej chwili zapomniał o danej sobie obietnicy. – Kasjerka z trójką dzieci, ochroniarz po wylewie i dwóch studentów budownictwa. Dali dupy, to fakt. Ale żeby ich od razu wsadzać?

– Kara musi mieć charakter odstrasżający dla potencjalnych naśladowców.

– Wystarczy, że dostaną grzywnę, to już ich odpowiednio zaboli – stwierdził, zastanawiając się, dlaczego wyręcza w tej dyskusji prokuratora. To jego zadaniem było wnioskowanie o karę, jak też o ewentualny areszt tymczasowy. Nagle przemknęło mu w głowie, że Broda specjalnie go podpuszcza.

– Jak posiedzą miesiąc, to dopiero ich zaboli – kontynuował przełożony.

– Właściwie to się z panem naczelnikiem zgadzam – wypalił nagle. – Może być tylko jeden mały problem...

– Mianowicie?

– Na miejscu pana naczelnika porozmawiałbym o tym areszcie z prokuratorem i mocno się nad tym zastanowił – rzekł Grodzki konfidencyjnym głosem.

– Dlaczego?!

– Podobno ojciec jednego z tych studentów chce startować na radnego – mówił dalej komisarz. – Jakby teraz jego syn trafił przez pana naczelnika za kratki, to zepsułby sobie pan naczelnik potencjalne kontakty. A do tych, jak wiemy obaj, pan naczelnik przykłada wielką wagę.

– Co?! – Twarz Brody nabrała czerwonego koloru.

– Co?!... Jak?!...

– Jak to pan naczelnik wtedy powiedział? – Udał, że się zastanawia. – Nowoczesny policjant musi wiedzieć, z której strony wieje polityczny wiatr... Albo jakoś tak... Mogłem przekręcić jedno czy dwa słowa, ale sens był generalnie taki. – Trzasnął obcasami. – Coś jeszcze, panie naczelniku, czy mogę się odmeldować?

Broda nic nie powiedział, zazgrzytał tylko zębami, następnie stanowczym gestem pokazał na drzwi.

Grodzki naciskał klamkę, kiedy szef przemówił.

– Jeśli mnie pamięć nie myli, pan komisarz ma dwa tygodnie zaległego urlopu, tak?

– Tak – przyznał niechętnie.

– To pan komisarz go teraz wykorzysta – rzekł z zadowoleniem. – Nie chcę słyszeć ani słowa sprzeciwu.

Grodzki się nie odezwał. Nie zamierzał dać Brodzie choćby krzty satysfakcji.

*

Jako że Kleemann miał wizytę u dentysty, komisarzowi nie pozostało nic innego, jak topić smutki w samotności. Chwilę zastanawiał się: wybrać knajpę czy też zaopatrzyć się w browar i jakieś słodkości na własną rękę? Na myśl o tym, że kasjerka w markecie może go spytać, czy zbiera naklejki, znaczki lub inne badziewie, zrobiło mu się niedobrze. Zdecydował się więc na kawiarnię Déjà Vu.

Lokal leżał na obrzeżach rynku, w zacisznej uliczce niedaleko rektoratu Uniwersytetu Zielonogórskiego i dawnego kina Wenus przerobionego na planetarium. Grodzki lubił to miejsce przede wszystkim ze względu na specjalność zakładu, czyli sernik. Upodobali je sobie również miłośnicy miasta, co jakiś czas organizowali tu koncerty, wieczory autorskie i tego typu imprezy. Komisarz co prawda fanem poezji śpiewanej nie był, ale za to historią Zielonej Góry – a wcześniej Grünbergu – interesował się od dawna.

Tym razem – pewnie za sprawą stosunkowo wczesnej pory – kawiarnia zionęła pustkami, co policjanta nawet

ucieszyło, nie miał bowiem ochoty na rozmowy o odkryciu kolejnej piwnicy na wino w starej kamienicy. Nawet brak towarzystwa w osobie Kleemanna nie doskwierał. Mógł posiedzieć w ciszy.

Odpoczynek nie był mu jednak dany. Dopiero co wbił widelczyk w apetycznie prezentujący się kawałek ciasta, gdy do jego uszu dobiegły stonowane, ale przy tym niezwykle charakterystyczne dźwięki. Nie zwracając uwagi na zdziwione spojrzenia pojedynczych gości – przyzwyczaił się do takich reakcji, a gdy miał dobry humor, wyjaśniał nawet, że to motyw z filmu „Coś” Johna Carpentera stworzony przez samego Ennio Morricone – wyłuskał smartfon z kieszeni spodni, po czym spojrział na wyświetlacz. Ponieważ nie kojarzył numeru, zawahał się, czy odbierać. Aparat uparcie dzwonił, dlatego zaryzykował.

– Słucham... – rzekł ostrożnie. – Tak, oczywiście, że kojarzę... – Uśmiechnął się na wspomnienie starego znajomego ze szkoły średniej. – Nie, nie słyszałem o tym... Mów... – Słuchał przez kilka minut, przygryzając co chwilę wargę. – Szczerze mówiąc, jestem trochę zajęty... – Spojrział na napoczęty sernik. – A kiedy chciałbyś się spotkać?... Jak najszybciej?... – Myślał intensywnie. – Nie chce mi się tak daleko jechać... Sława może być!... W takim razie do jutra. – Gdy tylko zakończył połączenie, poczuł narastający gniew.

Był na siebie zły. Raz, za to, że uległ namowom kolegi. Nie dość, że nie widział go od lat, to jeszcze nie miał wobec niego żadnych zobowiązań. Dwa, sprawa, z jaką ten dzwonił, była z gatunku tych, których Grodzki unikał jak diabeł święconej wody. Mógł się założyć, że nic

tam nie wskóra, a wątpliwości znajomego były w takiej sytuacji normalne. Trzy, gdy tylko opuścił gabinet Brody obiecał sobie, że wykorzysta urlop na uporządkowanie ogrodu. No i planował jeszcze oddać auto do mechanika, silnik bowiem znów zaczął brać olej.

Co miał zatem zrobić? Zadzwoić do kolegi i powiedzieć mu, że zmienił zdanie? To nie było w jego stylu. Poza tym wyjazd do Sławy równie dobrze mógł potraktować jako miłą wycieczkę.

Z tą myślą wbił widelczyk w sernik i szeroko się uśmiechnął.

Rozdział 3

Środa, Wrocław

Kiedy Damian Saran wrócił do mieszkania, pierwsze, co zrobił, to odgrzał w mikrofali potężną porcję spaghetti. Zjadłszy spóźniony obiad, stanął przed szafką na buty Saszy, próbując się zorientować, czy którejś pary brakuje. Wodził wzrokiem po różnokolorowych czółenkach, botkach i kozaczkach, za cholerę nie mogąc sobie przypomnieć wszystkich. Nic zresztą dziwnego, kolekcja żony była tak duża, że część starszego obuwia przełożyła do pawlacza. Nie mając innego wyjścia, stanął na taborecie, otworzył drzwiczki, lustrując zawartość wnętrza.

Nic z tego, nie miał bladego pojęcia, czy i czego brakuje w okazałym zbiorze. To była droga donikąd, przeniósł się więc do sypialni, zaczął przeglądać zawartość szuflad w komodzie. Miał wrażenie, że nie ma kilku

biustonoszy oraz fig i seksownej halki, którą sprezentował Saszy na ostatnie Walentynki. Równie dobrze jednak mogły leżeć w koszu na brudy. Sprawdził jego zawartość, ale nic z tych rzeczy tam nie znalazł.

To był już jakiś trop! Nie zamierzał jednak na tym poprzestawać, zajął się szafą i wkrótce miał już pewność, że coś jest na rzeczy. Brakowało trzech par jeansów, dwóch atłasowych bluzek – co do jednej nie było dyskusji, jako że nie znosił, gdy ją zakładała, chociaż żonie nigdy o tym nie powiedział – cienkiego sweterka i przejściowej kurtki. Sasza bardzo ją lubiła, mimo że wytarła się już trochę na łokciach, nie chciała jej wyrzucić.

Wtedy go olśniło. Wrócił do pawlacza, sięgnął ręką w głąb szafy, macając za małą podróżną walizką na kółkach. Kiedy nic nie wyczuł pod palcami, zaklął siarczyście, zdawszy sobie sprawę, że policjantka miała rację: Sasza od niego odeszła.

Wziął pan pod uwagę, że żona ma dość? Że postanowiła coś w swoim życiu zmienić? Że już pana nie kocha?

Ale żeby powiedziała chociaż słowo wyjaśnienia! Nie chciała już z nim rozmawiać? Mogła wysłać mejl albo esemes!

Esesemes? Wysłała, tylko taki, który miał odwrócić jego uwagę, kłamiąc w żywe oczy! – na tę myśl poczuł wzbierającą złość, która chwilę później ustąpiła miejsca rezygnacji. Wszedł do salonu, usiadł na kanapie, zaczął analizować. Ostatnie miesiące rzeczywiście były między nimi chłodne, nie układało się tak, jak kiedyś. Po tym jak wzięli kredyt na mieszkanie, oboje musieli więcej pracować, ona brała dodatkowe projekty, wyrabiając nadgodziny, on zlecenia na lewo. Trochę ryzykował,

bo szef nie tolerował dorabiania na boku, ale praktycznie nie mieli wyjścia, i tak z trudem udawało im się zamknąć domowy budżet. Taki stan rzeczy trwał już cztery lata! Efekt był taki, że w tygodniu wracali do domu wieczorem, jedli kolację – tak zmęczeni, że często nie mieli nawet siły ze sobą porozmawiać, brali szybki prysznic i kładli się do łóżka. Pracowali również w niektóre soboty, w niedziele zaś albo odwiedzali rodzinę i znajomych, albo siedzieli w domu, próbując odpocząć.

Kiedy ostatnio się kochaliśmy? – zamyślił się. Trzy tygodnie temu? Cztery? Jakoś tak... Nie dość, że seks był coraz rzadszy, to stawał się rutyną, obowiązkiem do wypełnienia, jak zmywanie naczyń, wstawienie prania i odkurzenie dywanów. Czasy, kiedy baraszkowali w łóżku przez pół dnia minęły bezpowrotnie...

Sięgnął po smartfon, wybrał galerię zdjęć, odszukał kilka fotek, które zrobił Saszy w samej bieliźnie. Widząc jej półnagie ciało, poczuł rosnące podniecenie. Zamknął oczy, próbując przypomnieć sobie ten raz, kiedy wziął ją od tyłu na podziemnym parkingu w centrum handlowym, ale zamiast jęków rozkoszy małżonki w głowie zabrzmiał głos policjantki z komisariatu.

Wziął pan pod uwagę, że żona ma dość? Że już pana nie kocha?

– Szlag by to trafił! – warknął, ciskając telefon na stoliczek kawowy. Wypuściwszy aparat z dłoni zdał sobie sprawę z błędu, jaki popełnia, ale było już za późno. Smartfon uderzył w przezroczystą taflę narożnikiem, dało się słyszeć charakterystyczny dźwięk pękającego szkła, po czym dywan został zasypany jego kawałkami.

– Jeszcze tego, kurwa, brakowało! – krzyknął.

Wyjął odkurzacz z szafy, zaczął sprzątać, czując narastającą złość. Poszła sobie w długą po tym, jak się dla niej tak poświęcał? Brał nadgodziny, dodatkowe fuchy, wszystko po to, aby mogła robić kolejne studia podyplomowe i kursy! Przy ich zarobkach kosztowały krocie, ale przecież miała to być inwestycja we wspólną przyszłość. Jednak z każdym następnym szkoleniem pensja nie wystrzeliwała jakoś w górę, a zaciągnięte na ich ukończenie pożyczki kumulowały się, wymuszając jeszcze bardziej wytężoną pracę. W pewnym momencie ciągnął praktycznie dwa etaty: jeden w firmie, drugi na własny rachunek, jeżdżąc po domach i naprawiając komputery. Tylko dzięki temu, że posiadał niebywałą smykałkę do elektroniki, mieli co włożyć do garnka!

A przecież nawet wtedy, gdy prawie przymierali głodem, zawsze wyskrobał kilka złotych na kwiatka, małą paczkę czekoladek czy inny drobiazg, który kładł jej obok na łóżku, samemu pędząc o świcie do pracy. Owszem, z czasem prezenciki stawały się coraz rzadsze i to nawet nie z powodów finansowych – w końcu dostała obiecaną podwyżkę i wyszli na prostą – co z przepracowania, wiecznego zmęczenia i pewnego automatyzmu, który wkraść się w ich życie, nie wiadomo kiedy. Czy to była tylko jego wina? Ile razy on dostał od Saszy jakiś drobiazg? Próbował sięgnąć pamięcią, ale oprócz Walentynek nic innego nie przychodziło mu do głowy, nawet o Dniu Chłopaka chronicznie zapomniiała. A czy mężczyźni nie potrzebują czułości? On potrzebował!

Ośmieszył się przed tymi policjantami, nie ma co! Brak kropki na końcu zdania przed uśmiechniętą buź-

ką? On się tym zamartwiał, jak głupi, a Sasza pewnie gdzieś zabalowała!

Ale dlaczego wyłączyła komórkę?... – zaczął się zastanawiać. Żeby jej nie przeszkadzał swoimi wyrzutami!

Z irytacją kopnął w wyłącznik odkurzacza. Potem przejechał otwartą dłonią po dywanie, sprawdzając, czy wszystkie drobinki szkła zostały wciągnięte. Zadowolony z efektów, schował sprzęt, poszedł do kuchni i otworzył lodówkę. Na widok oszronionych butelek piwa poczuł się trochę lepiej.

Sasza zrobiła sobie imprezkę, nawet mu o tym nie mówiąc? Trudno, jej wybór. On też nie będzie siedział i roził krokodylich łez za taką niewdzięcznicą.

Rozsiadł się na kanapie, włączył telewizor, wybrał kanał sportowy. Ucieszył się na widok zielonej murawy, na którą wybiegało właśnie dwudziestu dwóch zawodników. Chwilę potem, gdy słynny komentator i zarazem były piłkarz przywitał się z widzami, ściągnął kapsel, wychylił za jednym zamachem pół butelki, czując miły chłód rozlewający się w trzewiach. Wreszcie będzie mógł obejrzeć mecz Ligi Mistrzów bez dziwnych pytań, komentarzy pozbawionych sensu i włączenia w ekran telewizora akurat wtedy, kiedy piłka zmierza prosto w światło bramki.

Liga Mistrzów, to jest to! Chociaż zdaniem Sarana prawidłowa nazwa powinna brzmieć: Liga Mistrzów, Zdobywców Drugich, Trzecich i Czwartych Miejsz z Najbogatszych Lig Europy i Kopciuszków z Pozostałych Biednych Lig. To było bliższe prawdzie, tak samo jak to, że przepaść dzieląca średniaków od najlepszych klubowych drużyn Europy rosła w zastraszającym tempie.

Ale czy mogło być inaczej? – zamyślił się, patrząc na jednego z napastników rozgrzewającego się obok linii bocznej boiska. Kosztował prawie 950 milionów złotych. Niemal miliard! Za faceta kopiącego skórzany worek!

Kiedy on był mały, szczytem marzeń dzieciaków na podwórku był trzepak mogący pełnić funkcję bramki. Najmłodszego – albo najmniej zwrotnego – stawiało się między słupkami, reszta dzieliła się na dwie drużyny i grała do jednej bramki. Jednej, bo dwie można było spotkać co najwyżej na szkolnych boiskach, na które poza godzinami funkcjonowania placówki woźny nikt nie wpuszczał. Pamiętał doskonale swoją pierwszą skózaną futbolówkę. Był tym prezentem tak przejęty, że przez kilka tygodni nie wynosił go z domu, bojąc się zniszczenia.

Miliard złotych za piłkarza!

– Świat oszalał – szepnął, sięgając po kolejną butelkę. Nie minął kwadrans gry, gdy zasnął.

*

Środa

Obudził się przed piątą rano, cały obolały, z karkiem zeszytywniałym od nienaturalnej pozycji. Spojrzał na podłogę, opróżnił zaledwie trzy butelki, mało jak na jego możliwości. To znaczyło, że albo zaczynał się starzeć, albo też całe to zamieszanie z odejściem Saszy wpłynęło na niego bardziej, niż był skłonny przyznać się do tego.

Opłukanie twarzy lodowatą wodą sprawiło, że mentalnie oprzytomniał. Przebrał się w świeże ciuchy, zjadł lekkie śniadanie, co chwilę próbując dodzwonić

się do żony, jednak cały czas pojawiał się ten sam komunikat.

W warsztacie pojawił się jako pierwszy, długo przed czasem. W oczekiwaniu na brygadzystę, który miał wydać im zlecenia na najbliższe dni, coraz mocniej się niecierpliwił. Dyspozycje, mimo że dotyczyły trudnych przypadków, przyjął z ulgą, chcąc jak najszybciej wyjechać w teren, żeby nie widzieć zadowolonych gęb kolegów komentujących wczorajszy mecz, z którego on pamiętał niewiele, żeby nie powiedzieć: nic.

Zaparkował furgonetkę pod blokiem, otworzył tylne drzwi, chcąc zabrać potrzebne narzędzia. Na widok nieznajomej kasetki zdziwił się. Otworzył ją, ku swemu zaskoczeniu zobaczył akumulatorowy pistolet do wbijania gwoździ. Kto go tutaj włożył, bo na pewno nie on? Zaczął myśleć. Czy kluczyki do auta miał dziś rano cały czas przy sobie?... Nie, na kilka minut zostawił je razem z całym majdanem, aby pójść do toalety. To wtedy Maniek musiał mu zapakować gwoździarkę, kawalarz jeden! Wrzucił akurat tę z zepsutym zabezpieczeniem: strzelała nawet bez przyłożenia do materiału, w który miało się wbić gwóźdź. Idiota!

W pierwszej chwili Saran chciał chwycić za smartfon, aby do niego zadzwonić i zbluzgać, ale się powstrzymał. Maniek pewnie właśnie na to liczył. Jak go znał, miał już na podorzędziu jakąś ciętą ripostę lub kolejny świński numer. Nie da mu tej satysfakcji, o nie! Trzasnęła drzwiczkami ze złością, po czym założył torbę narzędziową na ramię.

Odkąd zmieniły się przepisy dotyczące dźwigów osobowych, windy zaczęły się pojawiać praktycznie

w każdym budynku wielorodzinnym mającym więcej niż cztery kondygnacje. Wkrótce potem jak grzyby po deszczu zaczęły wyrastać firmy specjalizujące się w ich montowaniu, a potem konserwacji i obsłudze.

Pod tym kątem Saran dzielił deweloperów na dwie kategorie. Pierwszą tworzyli ci, którzy nie oszczędzali na inwestycji w dobry dźwig osobowy, wychodząc najwyraźniej z założenia, że opinia warta jest wysupłania większej kasy z portfela. Druga grupa – znacznie liczniejsza – to byli skąpigrosze, którzy – gdyby tylko prawo dało im taką możliwość – montowaliby windy działające za pomocą mięśni lokatorów.

Budynek, w którym się znalazł, stawiał ktoś z pierwszego kręgu, co dało się wyczuć już przy solidnych drzwiach wejściowych. Przeczucie Sarana nie myliło, także winda należała do średniej półki. Szkoda, że takiego samego podejścia nie miał jego szef i wysyłał konserwatorów na naprawy w pojedynkę. W innych firmach ze względów bezpieczeństwa zwykle pracowało się w tandemach.

Sprawdził zgłoszenie. Wynikało z niego, że windą nie dało się wjechać na przedostatnie piętro. Wszystkie inne przystanki działały normalnie, tylko ten jeden nie. Wsiadł do kabiny, wcisnął dziewiątkę, dźwig ani drgnął. Wybrał sąsiednie numery, winda ruszyła natychmiast. Zatrzymała się na ósmym piętrze. Kiedy znalazła się na kolejnym, piętrowskazywacz zamiast dziewiątki pokazał zero, a winda pojechała dalej, stając dopiero na dziesiątym.

Kiedyś miał do czynienia z podobną sytuacją, tylko że sam ją sprokurował. Właściciel wielkiego apartamen-

tu złożył na niego skargę za opieszałość. Odwdzieczył mu się, tak programując windę, że co drugi raz nie zatrzymywała się na jego piętrze będącym do wyłącznej dyspozycji, tylko przystanek wyżej lub niżej.

Tutaj jednak z programatorem było wszystko w porządku. Wjechał na górę, zaczął się głowić, od czego zacząć. Zadzwoił do kolegi z firmy, ten poradził, aby sprawdzić listę błędów w układzie sterowniczym. Dalej poszło już jak z płatka. Znalezienie przyczyny usterki zajęło mu zaledwie pół godziny, kolejną poświęcił na śniadanie na ostatniej kondygnacji i wysyłanie ponownych esemesów do przyjaciółek Saszy z prośbą o wiadomość, jeśli się z nimi skontaktuje. Co prawda nie był z tych, którzy obijali się przez pół zmiany, z drugiej jednak strony życie nauczyło go, że nadgorliwość jest gorsza od faszyzmu. Szczególnie w firmie, w której właściciel, zamiast pochwalić za szybką naprawę, podkreślał normę na kolejny miesiąc. Taki błąd popełnił tylko raz, szybko ucząc się, jak skutecznie uniknąć przepracowania.

– Już jest czynna? – Rozmyślenia przerwał ciepły damski głos.

– Właściwie to muszę jeszcze coś sprawdzić... – wydukał Saran, patrząc na stojącą przed nim kobietę. Nie zdając sobie z tego sprawy, zlustrował ją uważnie. Ciasno opięta czarna spódnica podkreślała zgrabne uda. Miała na sobie atlasową białą bluzkę. Widząc, że trzy górne guziki są odpięte, pomyślał, że to specjalnie dla niego na polepszenie nastroju. Podobnie jak wielka broszka zawieszona na wysokości serca. Musiała być ciężka, bo ściągała materiał, dzięki czemu lewa pierś wyglądała zza niego seksownie, kusząc opalen-

zną widoczną nawet w słabym świetle żarówki. – Da mi pani minutkę?

– Minutkę? – powtórzyła, prezentując idealną biel zębów. – Taki jest pan szybki? – Spojrzała na mężczyznę uważnie. Trudno było go nazwać przystojnym, jedynie w oczach miał jakiś taki błysk przyciągający uwagę. Niestety, efekt psuła mocno wysunięta żuchwa, o ile en face jeszcze jakoś wyglądał, o tyle profil był dla niej nie do przyjęcia.

– W niektórych dziedzinach życia jestem szybki, w innych całkiem przeciwnie – rzekł, udając, że szuka czegoś w torbie.

– Aż się boję pytać, w jakich to dziedzinach życia nie jest panu śpieszno – zaśmiała się delikatnie.

– W różnych – odparł, czując coraz większą ekscytację. Albo mu się wydawało, albo z nim flirtowała! Kątem oka zerknął na jej prawą dłoń, nie dostrzegłszy obrączki poczuł jeszcze mocniejsze podniecenie. W branży krążyły legendy o samotnych kobietach, które zapraszały monterów na kawę i coś mocniejszego, po czym rzucały się na nich zaraz za progiem mieszkania. Co prawda Saran nigdy nie spotkał nikogo, kto mógłby potwierdzić chociaż jedną taką opowieść, ale coś przecież musiało być na rzeczy. – Jeszcze momencik. – Przywdział na twarz najbardziej powalający uśmiech, na jaki go było stać, po czym ukucnął, chcąc ukryć wzwód. A może lepiej, żeby go zobaczyła? – zaczął się zastanawiać. Wstał, myśląc, jak poprowadzić dalszą rozmowę. Był mistrzem w podpuszczaniu lokatorów, często ich prowokował, pytając, czy nie boją się jeździć windą. Pamiętał jak dziś, gdy w odpowiedzi jakaś zasuszona sta-

ruszka ostrzegła go, żeby patrzeć zawsze na spód kabiny i, jeśli zatrzymywał się nierówno z drzwiami, szybko z niej wyskakiwać, bo inaczej może ruszyć i przeciąć człowieka na pół!

Tym razem jednak nic sensownego nie przychodziło mu do głowy.

– Może lepiej zejdzie pani schodami? – rzucił, od razu żałując wypowiedzianych słów. – Jest z górki...

– Mam kontuzjowaną kostkę – wyjaśniła. – Dużo biegam dla zdrowia – dodała wyjaśniająco.

Saran machinalnie spojrzał na nogi, zastanawiając się, kto o zdrowych zmysłach zakłada szpilki na chorą kończynę? Powiódł spojrzeniem wyżej, przez umięśnione łydki, po idealne wręcz kolana.

– Skoro tyle pani biega, to musi mieć niezłą kondycję.

– Nie narzekam – odparła. – To jak: mogę jechać?

– Proszę. – Jeszcze raz spojrzał na kobietę. Nie mogła być sekretarką – a tak przyjął w pierwszej chwili – nie z tak wyzywającym dekoltem i biżuterią: ogromnymi kolczykami w kształcie syrenek, świecącego łańcuszka z wisiorkiem wciśniętym w seksowne wcięcie w biuście i tej potężnej broszki, dzięki której mógł podziwiać jej pierś. – Ale jakby co: ostrzegałem! – dodał, żartobliwie grożąc palcem.

Nie patrzyła już na niego, wcisnęła przycisk, po czym zaczęła szukać czegoś w torebce.

Westchnął w duchu. Już wieki temu przyzwyczał się do tego, że wielu ludzi takich roboi jak on traktowało niczym powietrze. Awantury o windy nie działające, działające za głośno, zatrzymujące się pół

centymetra powyżej poziomu należały do porządku dziennego.

Jedyna przyjemność, jaka się czasami trafiała, to takie laski, jak ta, na których choć na chwilę można było zawiesić wzrok, marząc o niezobowiązującym numerku. Z tą myślą powędrował wzrokiem na uda – oceniając, że są w sam raz: ani za grube, ani za chude – potem przeniósł go na pupę, może nieco zbyt dużych rozmiarów jak na jego gust, ale i tak zgrabną.

Coś go uderzyło, ale przez dłuższą chwilę nie mógł sprecyzować myśli. Wtem dotarło do niego, że pod spódnicą wysportowanej pani nie było widać majtek! Kiedy to sobie uświadomił, błyskawicznie podjął decyzję. Otworzył szafkę sterowniczą, podśpiewując pod nosem, ciesząc się na to, co miał za chwilę zobaczyć. Odczekał do momentu, w którym winda minęła drugi przystanek, po czym wpisał odpowiednią komendę w programatorze.

Nie śpiesząc się, zszedł na pierwsze piętro, nie bez problemów otworzył drzwi.

- A ostrzegałem! – powiedział, zadzierając głowę.
- Mogłam zejść schodami – rzekła, kucnąwszy.
- Co teraz?
- Może pani poczekać, aż usunę usterkę albo pomogę pani wydostać się stąd.
- A ile to potrwa?
- Godzinę, może dwie – skłamał gładko.
- Godzinę? – zdziwiła się. – Spóźnię się do pracy...
- Zostaje nam zatem wyjście awaryjne. Najpierw proszę podać torebkę... Dobrze... Teraz niech pani usiądzie

na podłodze i wysunie nogi... Nie tak... Odwrotnie... Tyłem do mnie...

– To nieco krępujące...

– Wiem, ale innej opcji nie ma – wyjaśnił, gratulując sobie w duchu idealnego wyczucia. Zatrzymałabinę na tyle wysoko, że kobieta musiała odwrócić się do niego pupą. Na widok pojawiających się przed nim krągłości poczuł przyspieszone bicie serca. – Chwileczkę, muszę panią przytrzymać za nogi, żeby pani nie spadła... – Złapał za łydki, jednocześnie zaglądając pod spódnice. Miał rację, nie miała na sobie majtek! – Jeszcze momencik, muszę poprawić chwyt... – Odetchnął głęboko. – Już! Teraz pomogę pani powoli się opuścić... Tak... Dobrze...

– Pobrudziłam sobie bluzkę... – westchnęła.

– Bardzo mi przykro. – Wcale nie było mu przykro, ale nie zamierzał się do tego przyznawać.

– Dziękuję za pomoc. – Chwyciła za torebkę.

– Bardzo proszę. – Patrzył, jak znika w klatce schodowej, do ostatniej sekundy wpatrując się w tyłek. – Chłopaki mi normalnie nie uwierzą!... – rzucił pod nose. – A Maniek to po prostu pęknie z zazdrości!